

Żer z talerzy w Rio

W lesisto-górzystym pejzażu Rio de Janerio trzydziestoczteroipółletni Jerzy odpoczywał rokrocznie, lekko licząc od siedmiu lat. Tu ustępował paraliż narządów, czuł się nibykwiat, nibyzwierz, po zawadiacku hożo. Jego hipokamp leżał radośnie jak dobrze użyźniona gleba, jak syty Niemiec na wozach. Hałdy wątroby, wąwozy jelit pożądlwie o poranku wołały: Dzieńdoberek łysogłowy przystojniaku! Śniadanko! Kozuszek na kawusi chętnie się pieniał, baba drożdżowa drażniła mile hojnością bakalii. Obiad niósł w darze kruźganki żeber wieprzowych, purée gładkie jak marmur z Carrary, wzgórze jarmużu, krążki rzodkiewki. Kolacja zaś podsuwała horyzonty rzeżuchy, skorzonerii pod abażurami brokułów. I deser z watahami jeżyn skąpanych w musie żurawinowym.

Jak pięknie mitrężyć czas w tak doborowym kulinarnym towarzystwie!